

Barbara Skarga  
*Polska Akademia Nauk*

## WYZNANIE

Przyznam się, że po uroczystościach w Jedwabnem zdenerwowały mnie niektóre wypowiedzi. Ktoś stwierdził, że nigdy się nie czuł tak upokorzony, ktoś inny dowodził, że przeproszać powinni raczej Żydzi. Ludność Jedwabnego zbojkotowała uroczystość. Zbojkotowała ją również nasza rodzima prawica, nie licząc się z faktem, że w ten sposób dostarcza argumentów tym, którzy ją oskarżają o zakorzeniony w jej mentalności ludowy antysemityzm. Nie chcę zresztą wchodzić w zawiły splot różnych przyczyn, zwłaszcza politycznych. Fakty są jednak wymowne i mówią one coś o narodzie, o jego wyobrażeniach, o jego opiniach. I właśnie o niektóre z tych opinii mi chodzi, nie wydają się one bowiem przypadkowe. Przeciwnie, sięgają swymi korzeniami daleko w tradycję. Chodzi mi więc o sam akt przyznawania się do winy, co myśli się zazwyczaj o nim, jak się ten akt przyznania rozumie i najczęściej traktuje. Chcę też przyjrzeć się pokrótce jego rozmaitym sensom. Jest to bowiem akt ambiwalentny, choć tak dobrze znany. W potocznym użyciu wszystkie jego sensory się mieszają, nakładają się na siebie i mało kto dostrzega dzielące je różnice. Wydaje się, że w praktyce ludzkiej przeważa jedno charakterystyczne rozumienie, nazwijmy je modelowym. Zgodnie z nim przyznawanie obowiązuje tylko grzesznika, to on przyznać się musi do winy, jeżeli chce ją zmazać, i to „musi” podkreślam, bo obowiązuje bez względu na to, czy ten ktoś miał złe myśli, zabił, lub ukradł samochód, czy jabłka w ogrodzie sąsiada. Pochopny to wniosek, fałszywy i ponadto niebezpieczny.

Jak się zrodził ten modelowy sens przyznawania się? Nie wiem. W tym miejscu jednak narzucają mi się następujące konstatacje: Foucault w 1980 roku wygłosił wykład zatytułowany *Le Gouvernement des vivants* poświęcony różnym praktykom chrześcijańskim przyznawania się do winy, praktykom najczęściej zrytualizowanym jak spowiedź, wyznanie wiary, katecheza, pokuta itp. Nie znam tych wykładów. Z tego jednak, co pisze o nich znawca filozofii Foucaulta i wydawca jego wykładów Frederic Gros, chodziło w nich przede wszystkim o ukazanie, w jaki sposób w pierwszych monastycznych wspólnotach rodził się przymus do mówienia o swych czynach i myślach, i jaką formę to przyznawanie się przy-

mowało w zależności od tego, do kogo było skierowane. Zwykle kierowało się ono do kogoś wyższego. Był to mistrz lub zwierzchnik, w grę wchodził także Diabeł, gdyż on także czegoś wymagać może i wpływa na myśli i słowa, wreszcie śmierć, w jej bowiem obecności przyznanie bywało najgłębsze i pociągało nieraz za sobą praktyki zmierzające do pełnego wyrzeczenia się siebie. Skoro kat stał nad głową, nic więcej nie pozostawało, jak poddanie się wymaganiom najcięższej pokuty. Zresztą przyznanie zawsze prowadziło do pokuty, a wszystkie procedury pokutne mające stanowić dowód naszego absolutnego posłuszeństwa zostały obwarowane całym szeregiem reguł mających zaświadczyć nie tylko o poddaniu się woli przełożonych, lecz także o odsłonięciu prawdy, i to nie tylko prawdy w związku z jakimś czynem lub myślą, lecz całej prawdy o sobie. Przyznanie się, według Foucaulta, oznacza pełne podporządkowanie jednostki przez nakaz stałej introspekcji i wypowiadania prawdy o sobie. W ten sposób bezwarunkowe posłuszeństwo, nieprzerwane badanie siebie i przyznawanie zostały nierozzerwalnie powiązane. Przeznaczeniem podmiotu ludzkiego w kulturze europejskiej, podmiotu pragnącego żyć w prawdzie, stało się posłuszeństwo. Jestem w prawdzie tylko wówczas, gdy poddam się Innemu. Innego pisze Gros dużą literą, zapewne więc chodzi tu o Boga, ale także diabła i śmierć, a jak czytam niżej, również o tyrana spowiednika, któremu penitencjariusz poddaje się wierząc, że to przez niego spełnia się boska wola.

Nie będę się wdawać w dyskusję z Foucaultem, trudno mi ją bowiem oprzeć na tych kilku słowach przytoczonych z drugiej ręki. Nie mam za sobą studiów historycznych, by jego tezy odrzucić lub potwierdzić. Jednakże chcę się tej kwestii przyjrzeć, choć ze zgoła innego punktu widzenia, który uchodzi zazwyczaj uwagi. Niektóre stwierdzenia Foucaulta wydają mi się trafne, jak i trafny jest sam wybór przedmiotu badania. Pytanie o sens przyznania nie jest błahe, a dziś niezmiernie aktualne, staje się bowiem aktem nie tylko grzesznej jednostki, lecz instytucji i społeczeństw. Dostrzegamy, że coś w europejskiej polityce drgnęło, jakby zaczęło się budzić sumienie całych wspólnot. Dał temu przykład papież przyznając się w imieniu Kościoła do zbrodniczych nadużyć inkwizycji, do krzywdzącej polityki wobec Żydów. Amerykański prezydent przeprosza Murzynów za cierpienia niewolnictwa. Unia Europejska gotowa jest przeprosić Afrykę za wieki kolonializmu i eksploatacji, my pamiętamy o Jedwabnem. Ile w tych wszystkich aktach tkwi czystej hipokryzji, lub politycznego pragmatyzmu, a ile szczerości, trudno mi osądzić, choć rzuca się w oczy, że na ogół przyjmują one charakter uroczysty i formalny, a nawet wręcz ceremonialny. W ten sposób podkreśla się znaczenie tych aktów, jest jednak wątpliwe, czy przynoszą one rzeczywiście jakieś głębsze zmiany w mentalności uczestniczących w nich ludzi. Nie trzeba się zatem dziwić, że są traktowane jako puste gesty. Gorzej, że niekiedy reakcje są dużo poważniejsze. Niektórzy bowiem dostrzegają w tych aktach jakiś fałsz, a nawet przejaw niesprawiedliwości. Akty te przyjmują bez aprobaty. Przeciwnie budzą one w ludziach niechęć, nie z powodu owej celebracji, lecz samej sedna rzeczy, co świadczy nie tylko o braku zrozumienia, ale też, jak sądzę, o nawykach myślowych zakorzenio-

nych głęboko w tradycji. Z czym bowiem ten akt przyznania się kojarzy? Być może Foucault ma rację, gdy pisze, że w akcie przyznania się widzi się do dziś skrępowanie grzesznika na siłę w „kamizeli prawdy”, która, choć bywa tylko duchowej natury, niemniej pozostaje totalna. Nadal zatem wiąże się go z nieustannym przymusem i upokorzeniem. Jeśli takie skojarzenia tkwią w świadomości ludzi, nie mogą oni dostrzec ani jego walorów politycznych, ani etycznych i trudno im zrozumieć fakt, że przyznanie może mieć zgoła inny sens, że w innego typu okolicznościach, może być załączkiem wielkiego dobra, a czasem narodowej chwały.

W języku polskim operujemy kilkoma słowami nieraz zamiennie, choć ich znaczenia nieco się różnią. Mówimy zatem o przyznaniu, uznaniu, wyznaniu. Jest także zeznanie, ale potraktuję je jako odmianę przyznania. Wszystkie mają korzeń: „znać”, we wszystkich chodzi o wyrażenie jakiejś poznanej treści, jakiejś prawdy. Nie biorę pod uwagę innych słów spokrewnionych z wyżej wymienionymi, takich jak rozeznanie, doznanie, zapoznanie itp., dotyczą one bowiem rozmaitych sposobów poznawania tej prawdy, a nie takiej lub innej jej wypowiedzi. A właśnie o tę wypowiedź mi tylko chodzi i o ten fakt, że w każdym z tych słów przybiera ona inny kształt, a ten kształt nie jest obojętny dla zdobywającego się na nią podmiotu, przeciwnie, może mieć ogromne znaczenie. Nasuwają mi się tu następujące uwagi. Po pierwsze, ta wyrażana treść, ta prawda nie musi się wiązać zawsze z popełnioną winą, zwłaszcza w uznaniu i wyznaniu. Mówimy wszakże: uznaję, że ten ktoś postąpił słusznie, uznaję jego zasługi lub talent, uznaję przedłożone przez niego rację, itd. itd. Wyznawać zaś mogę miłość, moje najgłębsze przeżycia, niepokoje, wątpliwości. Wydaje się, że także przyznawanie się może być neutralne etycznie. Mogę się wszakże przyznawać do najrozmaitszych spraw, do takich lub innych gustów lub zamiłowań, do planów i projektów, do niechęci, antypatii lub sympatii. Jednakże przedrostek „przy” jest znaczący, wskazuje on, że przyznanie ma charakter potwierdzenia jakiejś opinii o mnie, że ktoś coś o mnie sądzi, coś mi przypisuje, a może zarzuca. Natychmiast tę opinię staram się prostować, wyjaśniać, udzielać jakiejś informacji innym, na skutek skierowanego do mnie pytania, ale nie jest to informacja wymuszona. Mogę owe pytania pominąć milczeniem. Żadne zatem z tych słów, także przyznanie, nie są powiązane koniecznym węzłem z grzechem lub błędem. Zawsze są natomiast potwierdzeniem jakiejś prawdy, bez wątpienia prawdy subiektywnej, prawdy, którą niekiedy ktoś mi sugeruje, najczęściej jednak jakoś sam ją rozeznałem. Nie ulega jednak wątpliwości, że to ostatnie słowo najczęściej kojarzy się z winą, mówiąc więc o nim to jego etyczne znaczenie będą miała przede wszystkim na uwadze.

W takim właśnie etycznym znaczeniu słowo to nie tylko wiąże się z winą. Przyznanie traci wszelki sens, jeżeli nie towarzyszy mu żal, świadomość, że się postąpiło źle, że się nie miało racji, że trudno jest postępek usprawiedliwić. Nie ma przyznania bez ekspiacji, bez skruchy i pragnienia, by zło naprawić. I tu się rodzi pierwszy wielki problem, co jest ważniejsze: pokuta czy gotowość do zadośćuczynienia?

Nie podejmuję w tej chwili tego problemu, nie mam odpowiedniego przygotowania. Chcę tylko zwrócić uwagę, że w każdym z tych rodzajów ekspresji układają się inaczej relacje między mną a innymi. Uznanie mam zwykle dla kogoś lub czegoś, jest więc efektem poznania wartości innego i wyrażeniem mego do niego stosunku, stosunku pozytywnego, w którym zazwyczaj zaznacza się szacunek, a niekiedy nawet podziw. Jest oczywiste, że do tego, którego darzymy uznaniem, odnosimy się z atencją. Ten zaś akt nie jest obojętny dla nas samych. Przeciwnie. Już Hegel stwierdzał, że uznanie dla innego pociąga za sobą uznanie innych dla mnie, dzięki czemu odnajduję właściwe sobie miejsce w sensownej przestrzeni świata. Heglowskie uznanie jest więc zapowiedzią podstawowej relacji społecznej o etycznym wymiarze. Czyż w słowach, w których mówimy nieraz o konieczności uznania dla każdego człowieka, o konieczności uszanowania jego godności i inności, nie wyraża się przekonanie, że właśnie w tym akcie tkwi podstawowy warunek racjonalnego opartego na zasadach moralnych współżycia?

Zgoła inne właściwości ma wyznanie, nie ma ono bowiem waloru społecznego. To prawda, że wyznaję coś komuś, lecz w tej relacji nie ten inny odgrywa tu znaczącą rolę, lecz ja sam, bo to ja sam pragnę wyjawienia tego, co uczyniłem, co boli, co cieszy, co przeżywam w taki lub inny sposób. Wyznanie się rodzi z własnej głębokiej potrzeby wyrażenia tego, co sam w sobie odkrywam, co sam w sobie rozpoznaję. Poprzedza je więc zwrócenie się ku sobie, refleksja, w której wydobywam prawdę własną, czasem gorzką, czasem niepokojącą. Wyznanie daje się więc określić jako relacja z samym sobą, wobec której ten inny może być kimś zgoła przypadkowym. Nie o niego tu chodzi, tylko o mnie. O znaczeniu takiej formy wyznania pisze Foucault sięgając do tekstów Seneki, Epikteta i Marka Aureliusza i pokazując, jak to wejście w siebie i dochodzenie do własnej prawdy, stawało się podstawowym w tym, co określił jako „praktyka siebie i praktyka prawdy”. Gotowa tu jestem zgodzić się z jego twierdzeniami. Pisałam już bowiem sama wielokrotnie, że to wejście w siebie jest jednym z podstawowych warunków tworzenia się sobości. Ta praktyka, wyjaśnia Foucault, raczej powoduje wyzwalanie się podmiotu z tych lub innych krepujących go więzów. Podmiot zwraca się tu ku innemu w swej prawdzie nie pod jego zewnętrznym naciskiem, nie ze względu na istnienie takich lub innych reguł i zobowiązań narzucanych przez różne instytucje, lecz z własnej woli i własnego wyboru, dzięki tym siłom, które w nim tkwią, i które w sobie może rozpoznać i z siebie wydobyć. Źródłem wyznania jest tu nie podporządkowanie, lecz upodmiotowienie, które prowadzi do zintensyfikowania relacji z samym sobą, do głębszego w siebie wejścia, do pełniejszej samoświadomości.

Wyjątkiem wydaje się być wyznanie miłosne, ono bowiem ma swego konkretnego adresata. Wyznać swą miłość mogę jednak także komuś zgoła obcemu, komuś, kto jest daleki od bycia przedmiotem tej mojej miłości. Jest oczywiste, że ten inny musi obudzić we mnie zaufanie, spodziewam się też z jego strony życzliwości i zrozumienia. Jednakże i w tym wypadku wyznanie ma znaczenie przede wszystkim dla mnie. Wszakże zmusza mnie do dokładniejszego sformułowania

mojej prawdy, do spojrzenia na nią z dystansu, a więc do głębszego rozeznania tego, co jest we mnie. W konsekwencji otwiera przede mną drogę do oczyszczenia, do mej własnej przemiany. Wyznanie może mieć siłę ozdowieńczą. Jak to mówi Foucault, podmiot może silniej i lepiej przeniknąć siebie i tym samym siebie uratować.

Między tymi dwiema relacjami, tą najbardziej zobiektywizowaną i tą intensywnie subiektywną, mieści się przyznanie. Wydaje się utożsamiać z uznaniem, a także z wyznaniem. To utożsamienie ma miejsce jednak tylko w pewnym szczególnym i nader ważnym wypadku, o którym później powiem. Na ogół jego sens jest inny, chybotliwy, zmienny i – jak mi się wydaje – coś traci w stosunku do uznania, jakby przyznawanie samo sobie nakładało granicę, jakby nie chciało wyrazić szacunku, podziwu. Stwierdzamy bowiem często: przyznaję, że to ktoś mądry, ale... I to „ale” czyni, że pozytywność uznania w przyznaniu zostaje osłabiona. Gdy zaś przyznajemy się do czegoś, relacja z sobą nie jest tak intymna, tak głęboka, jak w wyznaniu. Przyznanie bywa powierzchowne, i rzadko mówi pełną prawdę o sobie, a może w ogóle do niej nie dociera. W takich wypadkach staje się raczej zeznaniem, nieszczerym, niekiedy wręcz fałszywym, zwłaszcza gdy jest wymuszone. Nam jednak chodzi przede wszystkim o to przyznanie integralnie związane z poczuciem winy, które spotyka się z opinią innych, z pytaniem lub wręcz oskarżeniem. Takie w dużej mierze jest zależne od tego, komu się przyznajemy, od relacji, jaka nas z nim wiąże, a ta relacja bywa różna.

Widzę trzy najczęstsze rodzaje tych relacji. Pierwsza jest analogiczna do tej, jaką dostrzeżliśmy w wyznaniu, z tą tylko różnicą, że chodzi w niej nie o takie lub inne przeżycia, lecz o potwierdzenie opinii lub usprawiedliwienie się przed nią. I tak w niepokoju sumienia często szukamy pomocy, nauki, zrozumienia u kogoś, do kogo mamy zaufanie, kto poradzić może, co czynić, jak błąd naprawić itd. Przyznajemy się więc do naszych grzechów komuś, kogo sami wybieramy. Ten ktoś zwykle jest bardziej doświadczony, możemy więc uznać go za mistrza. Dopomaga on w dojściu do prawdy, lecz nie narusza w niczym naszej niezależności, nie ma on w stosunku do nas żadnych sankcji karnych. To od nas zależy, czy posłuchamy jego rad. W relacji drugiego rodzaju spotykanej najczęściej, ten ktoś nie pochodzi z wyboru i jest więcej niż mistrzem, ma on bowiem jakieś prawo, niekiedy wsparte instytucjonalnie, by się naszego przyznania spodziewać, a także żądać. Posiada zatem nad nami władzę. Czy to jest władza czysto duchowa, rodzicielska, obyczajowa, prawna, nie jest istotne. Faktem jest, że w tej relacji przyznanie staje się znakiem zależności, a tam, gdzie jest zależność, może się pojawić nacisk, przymus, represyjność, zwłaszcza gdy prawda, która stanowi jego treść, została przez władcę negatywnie oceniona, a tym władcą może być nie tylko spowiednik, lecz także ojciec wobec dziecka, nauczyciel, sędzia. Wiemy także, że niejednokrotnie tę prawdę czyjaś wydobywało się i wydobywa różnymi sposobami, od nakazów pokuty, szkolnych i rodzinnych nagan, aż po łamanie rąk, bicie, wymyślne tortury. Przyznanie zatem, wyjawienie grzechów odbywa się pod presją takiego lub innego władcy, takiej lub innej społeczności, która zdobyła sobie pra-

wo do wymuszania prawdy i do ostrego karania nieposłuszeństwa. Uparte nieprzyznawanie się budzi nieraz wściekłość. Przyznanie – wyrozumiałość, uciszenie gniewu, czasem darowanie winy. Wszystkie zaś stosowane procedury, wszystkie nakazy mają na celu wymuszenie w nas wstydu i pokory, a od pokory niedaleko do upokorzenia. Przyznając się czujemy, że ktoś nas upokarza, ktoś kto ma władzę, kto nad nami panuje i panując odbiera nam naszą wolność i niezależność, nakłada pęta, zazwyczaj moralne, ale niekiedy i prawne. Groza kary wymusza słowa prośby o wybaczenie. Nie jest jednak łatwo je wymówić, nawet małe dziecko wie, jak trudno mu powiedzieć: przepraszam. I ten akt przyznania kojarzy się tak właśnie, jak tego dowodził Foucault, z przymusem, utratą niezależności, poddaniem się władzy, pokorą, a także z wymuszonymi przeprosinami i upokorzeniem. Czy należy się dziwić, że budzi on opór?

Tak jednak być nie musi i przyznanie może być aktem pięknym i głęboko moralnym. Rzadko nas jednak na taki akt stać. Myślę tu o najistotniejszej relacji, w której inny jest tym, wobec którego popełniliśmy winę. Nie wystarcza wypowiedzianie się tylko przed Bogiem. To najłatwiej, bo On milczy, nie potępia, nie nakazuje pokuty, nie widzimy w jego twarzy zgorszenia lub bólu. Nie powie też innym o mej winie, pozostanie ona w tajemnicy. Sam sobie ewentualnie wymierzę karę, aby nie była zbyt dotkliwa. Nie wystarcza wypowiedzianie się przed anonimowym spowiednikiem ani przed nieznanym nam trybunałem. Trzeba powiedzieć o winie wprost, w oczy, temu, który od nas doznał krzywdy. (Papież prosił o wybaczenie za antysemityzm Żydów będąc razem z nimi w Knesecie i w Yad Vashem). Skrzywdzony tej prawdy potrzebuje, jemu ona się należy. Nawet wówczas, gdy nie domaga się przyznania, gdy nie domaga się przeprosin, gdy nie posiada żadnych sankcji, żadnego prawa, by nas ukarać, tylko on jest władny udzielić nam przebaczenia. Przyznanie jest wówczas aktem prawdy, a nie obligacji, aktem dającym oczyszczenie i otwierającym drogę ku pojednaniu. Stajemy wobec skrzywdzonego w gotowości pełnego zadośćuczynienia, nie unikamy odpowiedzialności. Przeciwnie, bierzemy ją na siebie, dowodząc w ten sposób swojej moralnej siły. Stajemy przed tym, którego zraniliśmy, jako suwerenne podmioty moralne, jako ci, którzy z własnej potrzeby mówią o swej winie, bez obawy, gdyż wiemy, że bać się należy nie prawdy, lecz kłamstwa, i z pełną świadomością, że jest to jedyna droga, by zmyć plamę. Takie przyznanie nie jest wstydem, przeciwnie, jest aktem odwagi, odwagi bycia w prawdzie, aktem, który przynosi uznanie i pozwala nam podnieść głowę. Istnieje coś takiego jak sztuka życia. Otóż ta sztuka, co jest stwierdzeniem banalnym, a mimo to rzadko branym pod uwagę, wymaga jasnych, przejrzystych stosunków z innymi i nie może się budować na kłamstwie.

Z tych więc trzech pojęć, które wyróżniłam wyżej przyznanie wskazuje na jeden z najbardziej doniosłych aktów naszego życia, o ogromnych konsekwencjach zarówno dla jednostek, jak i całych społeczności, o ile oczywiście towarzyszy mu głęboki autentyczny żal i chęć naprawienia zła. Stąd tak denerwujące i puste wydają się te różne przeprosiny ubarwione bogatym ceremoniałem religijnym, a tak wzruszyło ciche spotkanie na cmentarzu w Jedwabnem. Tam bowiem ci, co po-

czuwali się do winy, choć sami nie popełnili tego zła, stanęli ze skrzywdzonymi twarzą w twarz. To był przykład aktu, w którym może zrodzić się wzajemny szacunek, wzajemne uznanie, a więc podstawa dla dumy, a nie upokorzenia. W takim bowiem akcie przyznanie scala się z uznaniem i jego konsekwencjami dla życia społecznego. Jednocześnie w tej bezpośredniości z innym, w tej szczerości słów i spojrzenia znika różnica między przyznaniem a wyznaniem umożliwiając to wszystko, co wyznanie przynosi suwerennemu podmiotowi, a więc samoświadomość i oczyszczenie. Traci tu sens rozdzielanie znaczeń. Różnice, które starałam się pokazać, zacierają się i oto mamy do czynienia z jednym, pełnym etycznej treści aktem, w którym przyznanie jest i wyznaniem, i uznaniem stając się właśnie w tym scaleniu przeciwieństwem owego modelowego, o którym mówiłam, obecnego wciąż w świadomości społecznej. Przyznanie się może być piękne.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Rzecz jasna, że żadne przeprosiny, żadne przyznanie się do winy nie mają mocy, jeżeli nie łączą się z postanowieniem poprawy, walki ze złem, które winę zrodziło. Przyznający się powinien wiedzieć, że bierze na siebie odpowiedzialność przeciwstawienia się ewentualnemu powrotowi zła. By sprostać temu zadaniu, nie musi nakładać włościennicy, lecz się zmienić sam, usunąć z siebie wszystko, co powrót ten by umożliwiło. Ta wewnętrzna przemiana, ozdrowieńcza, nieraz bardzo trudna, konieczna jest nie tylko w planie indywidualnym, ale także społecznym, dla pokrzywdzonego zaś bywa ona najcenniejszym zadośćuczynieniem.